

Jerzy Broszkiewicz



SAMOTNY PODRÓŻNY

Jerzy Broszkiewicz

SAMOTNY PODRÓŻNY

OPOWIEŚĆ O MIKOŁAJU KOPERNIKU

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

ISBN: 978-83-66719-18-7

Tekst: Iskry, Warszawa 1973

Spis treści

[KILKA UWAG WSTĘPNYCH](#) (4)

[ROZDZIAŁ I](#) (6)

ROZDZIAŁ II (45)

ROZDZIAŁ III (56)

ROZDZIAŁ IV (73)

ROZDZIAŁ V (88)

ROZDZIAŁ VI (105)

KILKA UWAG WSTĘPNYCH

„Samotny podróżny” jest pierwszym szkicem do scenariusza — a więc i do filmu o Doktorze Mikołaju Koperniku.

W drodze na ekran szkic ten uległ niezbędnym przeistoczeniom i skrótom. Całą tę przebudowę, w której wziął udział wybitny, nieżyjący już dramaturg Zdzisław Skowroński, uznałem za właściwą. Więcej: za konieczną. Przecież w swoim założeniu opowieść o „Samotnym podróżnym” miała charakter literackich prób i propozycji, z których dopiero należało wybrać i wypracować ostateczny kształt filmowy.

Wyznaję szczerze, że dość długo wahałem się przed przekazaniem tego szkicu Wydawcy. W końcu jednak przyjąłem to ryzyko, które zresztą jest nieodłącznym elementem pracy pisarskiej, poczynając od zwykłego felietonu, a kończąc na wielkich cyklach powieściowych. Przyznaję: tym razem miałem w sobie większy niż kiedykolwiek opór do przewyżyczenia.

Wielkość tematu — i próba o charakterze wstępnego zaledwie szkicu do rzeczy właściwej. Wymiar postaci — i moja bezradność wobec rzetelnej wiedzy matematycznej i astronomicznej. Niemożność dotarcia do zagubionych na zawsze szczegółów życia Doktora Kopernika. Wprawdzie bibliografia kopernikańska jest ogromna — ale istnieją luki, które można zapłacić jedynie próbami wyobraźni. Uczeń naszego wieku wie prawie wszystko o dziele i znaczeniu Kopernika, w historii nauki i myśli ludzkiej. Ale jego życiorys, jego portret zewnętrzny i wewnętrzny, jego dzień powszedni — to wszystko właściwie jest nam niedostępne, ukryte w czasie, nieodwołalnie zagubione. Mam głęboki, uzasadniony szacunek dla pracy historyków, dla ich odkryć i uściśleń, dla stale poszerzającej się wiedzy o faktach z życia Astronoma. Współcześni uczeni prowadzą nieustanną i owocną polemikę z błędnymi lub nieuzasadnionymi poglądami dawniejszych badaczy przedmiotu. Należy zresztą przypuszczać, że proces ten nie ulegnie zahamowaniu — i następne pokolenie uczonych nadal będzie uściślać i poszerzać wiedzę o Doktorze Mikołaju.

Powtórmy jednak: całe wielkie fragmenty życiorysu Doktora, jego portret psychologiczny i codzienną obecność wśród ludzi, sprawę Anny Schilling i dziesiątki spraw innych — czas odebrał nam bezpowrotnie. Czy można zatem przyznać sobie prawo do mówienia o człowieku tak wielkim w sposób „nieodpowiedzialnie literacki”, szkicowy, niesprawdzalny?

Pisarz ma prawo do fikcji i posługuje się nią zawsze. I tylko na tym terenie spotyka go sukces lub klęska. Albowiem fikcja jest nie tylko prawem, ale i podstawową zasadą wszelkich literackich usiłowań. Bywa zaś i tak, że technika literackiego skrótu i syntezy pozwala dostrzec postać bohatera pełniej niż najbardziej godna szacunku naukowa monografia. W tym wypadku na pewno jest inaczej. Ale pozostaje jeszcze sprawa zakresu i popularności odbioru. Ośmieliłem się zatem skorzystać z literackiego prawa do fikcji mimo pełnego poczucia ogromnej dysproporcji pomiędzy Wielkim Tematem a własną próbą opowieści o Doktorze Mikołaju.

Pragnę przy tym stwierdzić — sprawa towarzyszy mi od ponad dwudziestu lat.

Ściśle — od 1951 roku, kiedy to próbowałem napisać scenariusz filmowy o krakowskich latach Kopernika. Próba się nie udała. W 1962 roku wróciłem jednak do tematu. Napisałem sztukę pt. „Koniec Księgi VI” i przyznam, że cenię sobie owo doświadczenie. W roku 1968 spisałem ten oto szkic do scenariusza noszący tytuł „Samotny podróżny”. Oddaję go obecnie Czytelnikom pod roz wagę i do oceny — kierując się przede wszystkim do Czytelników młodych.

Pozostaje jeszcze tylko pytanie główne: wytłumaczyć, dlaczego i z jakich powodów tak uparcie wracam do sprawy Mikołaja Kopernika — i być może spróbuję jeszcze do niej w przyszłości powrócić.

Otóż rzecz w tym, że uważam Doktora Mikołaja za największego i najodważniejszego bohatera w całej naszej historii. Właśnie — za b o h a t e r a.

Bieg naszych dziejów ukształcił w polskiej świadomości określony wzór bohaterstwa. Za jego miarę uznaliśmy przede wszystkim czyn militarny. Bohaterstwo rodziło się przede wszystkim na wojennych traktach — na polach Raławic, w wąwozie Somosierry, w Olszynie Grochowskiej, na reducie Ordona, w lasach Małogoszczy, na wszystkich barykadach i frontach ostatniego stulecia. Jest to mechanizm zrozumiały, bo Niepodległa Polska powstała, by żyć, myśleć i pracować przede wszystkim dzięki czynom żołnierskim. I należy uszanować pamięć bohaterów wojennych.

Ale chyba czas po temu, by w powszechnej świadomości przywrócić właściwe, a nawet główne miejsce innemu wzorowi bohaterstwa i innej niż żołnierska odwadze. Czas przypomnieć bohaterów myśli ludzkiej i odwagę uczonych, dzięki którym naród uczył się myśleć. Myślał, więc istniał. Pojmował sens i wartość swego istnienia — i jeśli umiał o nie walczyć, to przede wszystkim dlatego, że nauczył się myśleć.

Dlatego pora przywrócić właściwą rangę odwadze ludzkiego umysłu. I w tym właśnie przekonaniu wracam od lat do tematu Doktora Kopernika — najodważniejszego umysłu naszej i nie tylko naszej historii.

Jerzy Broszkiewicz – autor

ROZDZIAŁ I

Jest lipiec roku 1492, tego samego roku, w którym Aleksander Borgia zostaje Ojcem Kościoła Rzymskiego, jego osiemnastoletni syn Cezare wdziewa kapelusz kardynalski — admirał Cristobal Colon zaś, zwany też Kolumbem, dociera do pierwszej z wysp Nowego Świata: Guanahani.

Jedenasty dzień lipca pamiętnego roku jest w Królestwie Polskim trzydziestym trzecim dniem żałoby.

W drodze z Wilna na zjazd w Radomiu — Kazimierz król rodu Jagiellonów, Pomnożyciel Królestwa, ulega śmiertelnej chorobie. Orszak królewski zatrzymuje się w Grodnie. Chory cierpi na krwawą biegunkę, przychodzi opuchlizna nóg, napady duszności i omdlenia będące następstwem ciężkiego osłabienia serca. Wezwany do królewskiego łóża jeden ze światłej szych lekarzy, Jakub z Zalesia, nie ośmiela się kłamać. Na pytanie Najjaśniejszego Pana odpowiada w pięciu słowach:

— Nie widzę nadziei, Najjaśniejszy Panie.

Chory spokojnie rozgląda się po twarzach obecnych, niecierpliwym ruchem ręki nakazuje milczenie. Mówi głosem wyraźnym:

— Godzę się. Czas umierać.

Ów czas przychodzi dopiero po kilku dniach pozornego polepszenia, w złej godzinie przedświt, nad ranem siódmego dnia miesiąca czerwca.

Droga do stolicy wiedzie przez Radom. Rozpoczyna się tu już wielki targ o imię następcy. Kondukt pogrzebowy po królewskim postoju w Radomiu (poświęconym naradom politycznym) kieruje się ku Krakowowi. Porusza się z wielką powolnością. Powstrzymują go żałobne procesje — na każdej stacji odprawia się też uroczyste msze.

Do bram Krakowa dociera dopiero wczesnym rankiem jedenastego dnia lipca. Formowanie się uroczystego konduktu żałobnego trwa długo. Przekracza on Bramę Północną, kiedy słońce bliskie jest już zenitu.

Nad miastem drży upał.

Liście drzew są nieruchome, szare od pyłu i długotrwałej suszy. Nie sposób podnieść oczu w górę — słońce pali i oślepia. Niebo jest srebrno-szaro-białe. Niczym brzuch martwego smoka.

Wszystkie dzwony kołyszają się na swych wieżach. Ich żałobny głos naciera ze wszech stron świata, otacza miasto, spływa z martwą falą Wisły, płoszy ptaki, ogłusza ludzkie serca.

Na rynek wchodzi z trzech stron żałobne procesje mnichów i mniszek, wiedzione przez księży w czarnych ornatach. Z trudem przepychają się przez wyległy na rynek wielotysięczny tłum. Ochrypły śpiew mnichów ginie w huku dzwonów i podnoszącym się od strony kościoła Najświętszej Marii Panny lamencie.

Królewski kondukt żałobny mija mury kościoła kierując się ku grodzkiemu traktowi. Tłum rozstępu je się z największym trudem — drogę torują pacholki królewscy i dwaj jezdni, rozrzucający w ciżbę miedziaki, a nawet srebrne grosze. W płacz i zawodzenia wpadają krzyki duszących się w ścisku kobiet. Wybuchają też ciche, lecz okrutne bójki o ciskane przez jeźdźców monety. Trwają krótko. Pacholki nie żałują drzewców swych dzied. W tłumie otwiera się przejście coraz szersze, coraz głośniejszy podnosi się lament. Ludzie padają na kolana.

Kondukt żałobny prowadzą rycerze niosący herby i proporce wszystkich księstw Królestwa. Tuż za nimi dwaj jezdni — wpierw chorąży chorągwi królewskiej pochyla przewiązany kirem sztandar monarszy, jego koń niepokoi się, rzuca głową, parska ściągany

wędzidłem. Za chorążym okryty purpurą ulubiony stępak królewski niesie rycerza w czarnej zbroi, czarnym hełmie i z opuszczoną przyłbicą.

Cztery pary okrytych czernią koni ciągną mary z królewską trumną. Tłum cichnie. Twarze ludzkie spływają potem i łzami, z końskich pysków lecą płaty piany.

Oto powóz królowej Elżbiety. Ukryła się w głębi — oczy ciekawych dostrzegają czarną sylwetkę i starcze dłonie, którymi wdowa przesłania twarz.

Za powozem, z odkrytymi głowami, nie dbając o wznoszący się spod kół szary pył, który osiada na ich strojach i twarzach, idą trzech królewscy synowie. Tylko jeden z nich, Jan Olbracht, unosi głowę, patrzy po ludziach, co chwila ociera pot ze spalonej słońcem twarzy.

W huk dzwonów wpada śpiew nieskładny, lecz mocny. Idą rycerze chorągwi królewskiej z płonącymi świecami w dłoniach, śpiewają psalm żałobny. Tuż za nimi orszak dworzan, wszyscy w czerni.

Słońce jest już w zenicie. Z białego nieba pada żar, biały blask oślepia oczy wraz z podnoszącym się spod stóp i kopyt pyłem. Na stromym podejściu na Zamkowe Wzgórze milkną wszystkie śpiewy, tylko huk dzwonów katedralnych wali się bezlitośnie na umęczonych żałobników. W orszaku dworzan zamieszanie: mdleje dwu dostojników. Krwistej kompleksji podczaszy dostaje krwotoku z nosa. Stępak pod czarnym rycerzem potyka się co chwila. Jego purpurowe okrycie czernieje od potu, konie ciągnące mary co chwila myślą krok, chrapią dzikim głosem.

W katedrze jeszcze cisza, chłód i cień. Przy głównym ołtarzu ostatnie przygotowania do mszy żałobnej. Na chórze klerycy w białych komżach i kilkunastu przybranych w czerń scholarów Akademii. Przygotowują się do odśpiewania egzekwii i psalmów żałobnych.

Wśród studentów Akademii wyróżniają się dwaj młodzi ludzie, wysokiego wzrostu, bardzo do siebie podobni. Ich stroje są ze szlachetnego materiału, włosy ułożone starannie, nie spracowane dłonie. Widać wyraźnie, że należą do zamożnej części studentów. Wyższy z nich — a obaj są wysocy — ma silniejszą budowę, urodę dość zuchwałą, złoty pierścień na palcu. Niższy, i chyba młodszy z braci, o rysach ostrzejszych, bardziej pociągłych, patrzy wprost przed siebie, na tęczowe wiązki padających przez witraże słonecznych promieni.

Nagle dzwony milkną. Nastaje chwila wielkiej ciszy. Trwa jednak niedługo. W cień i ciszę katedry wstępują rycerze niosący proporce herbowe księstw Królestwa i chorąży monarszej chorągwi. Na kamiennych płytach groźnie dźwięczą podkowy końskie, uosabiający zmarłego króla czarny rycerz wjeżdża w główną nawę. Koń stąpa niepewnie, pada na kolana, ale podrywa go bezlitosne ściągnięcie uzdy, piana u końskiego pyska różowieje.

Ośmiu rycerzy wnosi trumnę Pomnożyciela Królestwa. Synowie wiodą pod ręce wdowę, jej żółtawa, pocięta zmarszczkami twarz złana jest potem i łzami. Katedra napęłnia się tłumem dworzan i rycerzy.

Jeszcze chwilę trwa ciężkie, groźne milczenie. Ale oto rozlega się ostry trzask i szczęk. Łamią się i pękają drzewce proporców i tarcze herbowe. Z zapierającym dech łoskotem wali się na kamienne płyty czarny rycerz. Koń rży dzikim głosem. Podnosi się krzyk i płacz powszechny. Księża przy ołtarzu rozpoczynają żałobne egzekwie, które z wielką mocą podejmuje chór kleryków i scholarów.

Z miejsca, w którym stoją obaj bracia, widać wszystko dokładnie: trumnę króla, szczątki proporców, wdowę klęczącą przy marach, gęsty tłum orszaku, wysokie płomienie grubych jak męskie ramię świec, ustawionych wokół katafalku.

Starszy z braci patrzy w dół z zachłanną ciekawością, przechyla się nad kamienną balustradą, nagłym ruchem przesłania twarz, jego ramiona drżą jak od tłumionego gwałtem szlochu. Nikt nie zwraca na to uwagi, tylko młodszy brat pochyla się z widocznym niepokojem. Po kilku sekundach pojmuje jednak, co to za płacz i nieme szlochanie. Jego twarz blednie z gniewu. Zaciska na ramieniu brata palce, aż knykcie bieleją.

Szepcze:

— Oszalałeś?

Starszy opanowuje się w końcu. Odsłania poczerwieniałą twarz i załzawione oczy, w których wciąż jeszcze błyszczy okrutna wesołość. Włącza się w śpiew chóru, jego głos brzmi jasno i czysto. Ale po dłuższej chwili, sprawdzwszy, iż nikt nie zwraca na nich uwagi, nachyla się do ucha młodszego:

— Boję się — szepcze — boję się, że Przewielebny nasz wujaszek, biskup i dostojny pan Warmii, zamiast odprawiać żałobę, śpiewa dziś „hosanna” i „alleluja”!

W oczach młodszego z braci błyska nagle szalona młodzieńcza ochota do śmiechu. Ten sam błysk odbija się na twarzy starszego. W popłochu uciekają od siebie wzrokiem. Młodszy wbija paznokcie w dłoń, wargi mu drżą, w końcu i on przesłania twarz rękami. Dopiero po dłuższej chwili obaj przyłączają swe głosy do chóru:

*Dies irae, dies Ula
Dies misericordiae...*

Jest pora wielkiej ciszy i spokoju. Godzina poprzedzająca świt pogodnego dnia. Na tle iskrzącego się od gwiazd nieba — nieruchomy cień. W mroku nie sposób jeszcze rozpoznać, czy to postać ludzka, czy kamienny maszkaron.

Słysząc odległy głos rogu straży nocnej. Noc zaczyna blednąć, budzą się ptaki. W końcu na pojaśniałym niebie świeci już tylko jedna z gwiazd — zaranna. Z cienia wychodzą kontury wież o połyskujących hełmach, masyw Zamkowego Wzgórza i kamiennych murów, spadziste dachy miasta, połysk rzecznej fali. Jeszcze przez chwilę trwa spokój przedświt. Ale oto już pod naporem napierającej od wschodu fali światła coraz gwałtowniej mnożą się kształty, barwy i głosy — i wreszcie pierwsze promienie! Cała strona nieba rozżarza się do złotej białości.

Teraz już wiadomo: ów cień na planie pierwszym to postać ludzka. W świetle wstającego dnia wyraźnie widać pociągłe, młodzieńcze rysy twarzy, spokojne i mądre oczy o ciemnej tęczówce, opadające niemal do ramion ciemnobrązowe włosy, skromny strój scholara Akademii.

Jest to młodszy z owych dwu braci, siostrzeńców biskupa Warmii, którzy brali udział w żałobnych uroczystościach. Stoi nadal nieruchomo na tarasie jednej z kamienic, skupionych tuż u podnóża Zamkowej Góry. Zwraca twarz ku słońcu, zamyka oczy, szepcze coś do siebie — nie wiadomo: modlitwa to czy rytm poetyckiego metrum.

W dole, od strony miasta, niesie się coraz to narastający tętent końskich kopyt. Zbliża się i nagle milknie. Zaraz potem gwałtowne kołatanie do bramy, zmieszane, niewyraźne nawoływania.

Młody człowiek, wyrwany ze swego zamyślenia, marszczy boleśnie twarz. W chwilę potem gdzieś w pobliżu odzywa się niecierpliwy głos starszego brata, wywołujący jego imię: — Miko! Miko! Mikołaj!

Mikołaj jeszcze nie odpowiada. Zbiera ze stojącego na tarasie zydła swoje rzeczy: wygaszoną latarnię, dzbanek z nie dopitym mlekiem, pióro, drewniany kałamarz, kilka niewielkich, podkreślonych wyraźnym pismem kart papieru.

U wyjścia na taras ukazuje się starszy z braci, Andrzej. Włosy złane wodą, twarz opuchnięta jak po pijaństwie, czerwona z gniewu. Podbiega do Mikołaja.